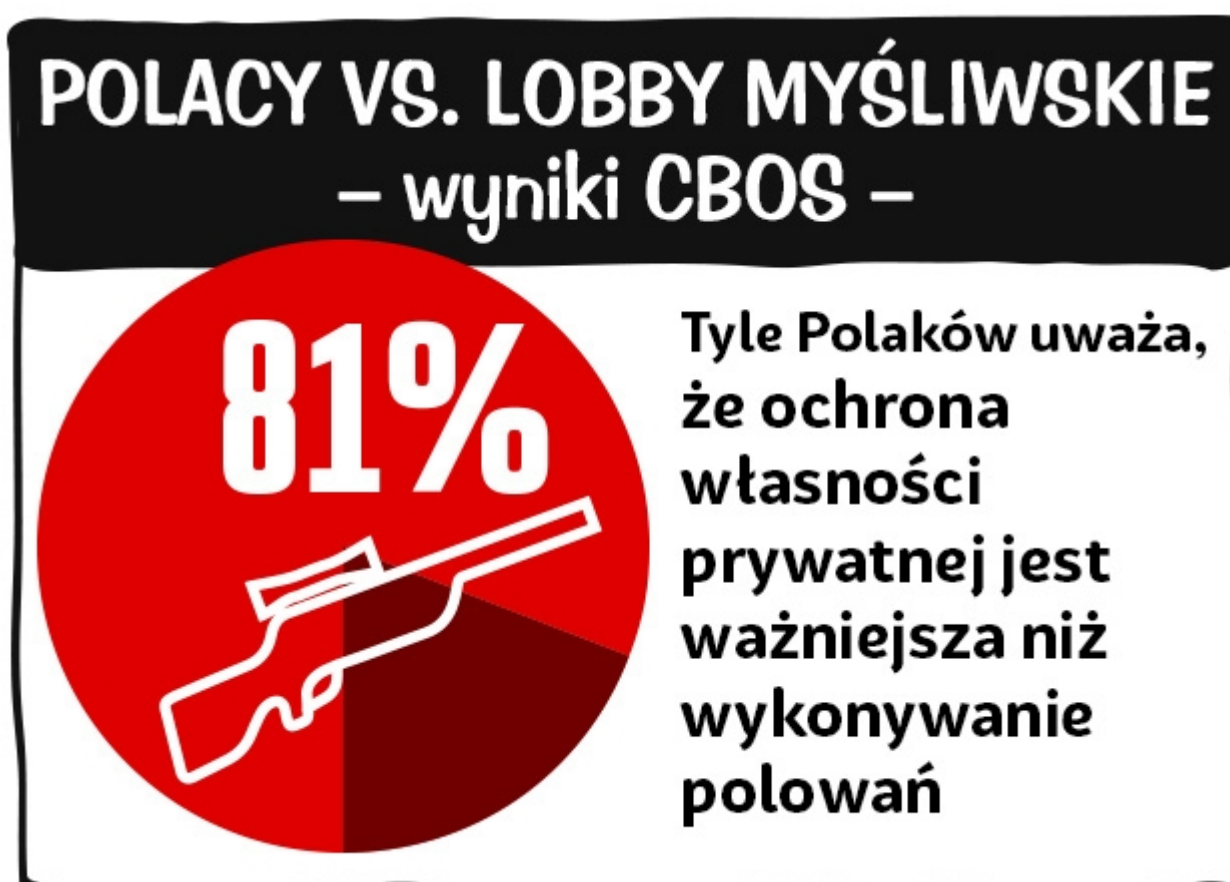


Myśliwi w rozkroku, czyli tradycja versus gospodarka łowiecka

Polska bez polowań

Nie będzie już można tresować sokołów i innych ptaków drapieżnych na żywych zwierzętach. Tak postanowił polski Parlament nowelizując ustawę Prawo łowieckie. Nie będzie można również szkolić psów myśliwskich, których umiejętności łowieckie ćwiczą na żywych lisach, jenotach i dzikach.

Sokolnicy i treserzy myśliwskich psów podnieśli larum. Że to koniec polskiej kynologii, a przecież z wielkim trudem przywrócono polskie rasy psów myśliwskich po II wojnie światowej. I że przecież sokolnictwo znajduje się na krajowej liście niematerialnego dziedzictwa UNESCO. A więc wara od niego.



Wspólne tym wszystkim lamentom było powtarzanie do znudzenia słowa „tradycja”. A tradycja, jak wiemy, to rzecz, do której myśliwi są bardzo przywiązani a nawet w niej zakochani. Tak bardzo, że ta miłość czyni ich ślepych na wszystko poza własną pasją. Również na to, że tradycja łowiecka i gospodarka łowiecka – naczelnym celem myślistwa – coraz częściej stają w fundamentalnym konflikcie.

Tradycja tradycją pogania

Tradycją w polskim myślistwie jest wspomniane sokolnictwo. Ta forma łowów liczy sobie blisko ponad 4 tys. lat i wywodzi się z Azji. Polega na polowaniu na drobne zwierzęta – na przykład małe ptaki i króliki – przy pomocy ptaka drapieżnego. Takiego jak sokół, jastrząb czy nawet orzeł.

Inna myśliwska tradycja to polowania klatkowe na bażanty. Z jednego z nich, które odbyło się 11 lutego 2017 r., „zasłynął” były minister środowiska Jan Szyszko. Dopiero co odchowane ptaki wypuszcza się z klatek wprost pod lufy myśliwych. Często jest to ich pierwszy lot, bo do łowiska przyjeżdżają z Ośrodków Hodowli Zwierzyny, gdzie do feralnego dla nich dnia trzyma się je w wolierach.

Kolejna myśliwska tradycja to polowania na małe ptaki, takie jak kaczki czy gołębie grzywacze. Są myśliwi, którzy szczególnie lubują się w tej formie łowiectwa, bo wymaga ona od strzelca refleksu, pewnego oka, przez co dostarcza silnych emocji.

Tradycja vs. gospodarka łowiecka

Wszystkie wymienione przykłady – a mógłbym ich wymieniać więcej – mają jedną wspólną cechę: nijak się mają do celów nowoczesnej gospodarki łowieckiej. Ta bowiem chce samą siebie widzieć jako element ochrony środowiska i jeden ze sposobów ograniczania konfliktów między ludźmi a dzikimi zwierzętami.

Weźmy wspomniane sokolnictwo. Ta forma łowów nie ma już dziś żadnego znaczenia praktycznego. To czysta rozrywka, uprawiana głównie dla wrażeń estetycznych wiążących się z obserwacją polującego ptaka.

A polowania na kaczki? Te małe ptaki nie są źródłem żadnych szkód dla ludzi. Ani w rolnictwie, ani w rybnych stawach hodowlanych, o szkodach leśnych już nie wspominając. Więc o żadnym „konflikcie” nie może tu być mowy.

Za to środowisko cierpi w wyniku tradycji polowania na kaczki „pióro”. Myśliwi myślą bowiem gatunki łowne z ptakami objętymi ścisłą ochroną. Nic w tym dziwnego: często polowania odbywają się wcześniej rano lub o zmroku, kiedy nawet doświadczony ornitolog miałby kłopot z określeniem gatunku ptaka. A co dopiero myśliwy, na ogół ze słabą wiedzą przyrodniczą, który przed oddaniem strzału ma dwie lub trzy sekundy na rozpoznanie ptaka.

Przez polowania na kaczki do środowiska trafiają duże ilości ołowiu. Nawet do 100 kg rocznie w jednym kompleksie stawów rybnych, co pokazały badania¹ przeprowadzone przez polskich naukowców w 2007 r.

Polowania klatkowe na bażanty to już w ogóle jest skandal z punktu widzenia gospodarki łowieckiej. Bo przecież ptaki w dużych ilościach, nawet kilkuset osobników, wpuszcza się do środowiska tylko po to, aby je odstrzelić. O żadnej „regulacji pogłowia” celem uniknięcia szkód gospodarczych nie ma tu w ogóle mowy. To jest strzelanie dla strzelania, które w łowiectwie trzyma się jeszcze tylko dlatego, że jest uznawane za istotny element jego tradycji.

W rozkroku

Polskie łowiectwo tkwi więc w rozkroku. Z jednej strony chce być postrzegane jako starodawna, godna zachowania tradycja. Z drugiej – jako konieczne i nowoczesne narzędzie funkcjonowania człowieka w środowisku naturalnym, które zakłada również jego ochronę².

Ale jeżeli w ogóle polskie łowiectwo aspirowałoby do roli racjonalnego narzędzia ochrony i ograniczania szkód, to w pierwszej kolejności musiałoby się pozbyć różnego rodzaju archaicznych „tradycji”. A to zmieniłoby już znacznie jego charakter. Bo w takiej optyce myśliwy stałby się kimś bliższym raczej deratyzatorowi, który zabija wtedy, gdy jest to konieczne. I nie ubiera tego, co robi, w szaty „łowieckiej przygody”, czy „pięknej polskiej tradycji”.

Czy na taką zmianę myśliwi w Polsce są w ogóle gotowi? Wątpię.

Robert Jurszo

1. Damian Wiehle, Zbigniew Bonczar, *Śmiertelność ptaków w warunkach stawów rybnych*, link: www.mto-kr.pl/dmdocuments/Wiehle_D_2007_Smiertelnosc_ptakow_na_stawach_rybnych.pdf2. To, czy polskie łowiectwo w ogóle może tym być, nie jest dziś już oczywiste. Pojawia się coraz więcej badań, które wskazują na szkodliwość wielu praktyk gospodarki leśnej, które kiedyś były postrzegane jako pozytywne. Sztandarowy przykład to dokarmianie. Ale nie tylko. Kiedyś myślano, że myśliwi mogą zastąpić w środowisku duże drapieżniki, takie na wilk. Dziś już wiemy, że nie. Ale to temat na osobny felieton, więc dajmy temu tutaj spokój.